

Nie wiem, skąd on się nagle pojawił. To było wieczorem. Stałem jak zwykle pod sklepem spożywczym z moimi kumplami i dyskutowaliśmy zawzięcie o niczym. Wyglądał zupełnie normalnie. Średniego wzrostu, szczupły, jakiś dziwnie delikatny z długimi ciemnobrązowymi, prostymi włosami i kilkudniowym zarostem w kolorze czarnym. Obserwowałem go. Ubrany był trochę po wojskowemu — kurtka amerykańskiej piechoty morskiej, dżinsowe spodnie i brązowe trzewiki. Wszedł do sklepu, kupił parę batonów, wyszedł i spokojnie oparty o futrynę zaczął zajadać słodczy. Nagle pojawił się tak zwany osiedlowy idiota. Taki palant i recydywa, pospolity dureń, menel i pijaczyna, ale też bardzo niebezpieczny facet, dobrze potrafił się bić. Spojrzał na nieznanego i zagadnął:

- Skąd jesteś?
- Stamtąd.
- A w ryja chcesz?
- Za co?
- A za gówno! Dawaj szmal!
- Ile?
- Wszystko!
- A dlaczego?!
- Bo w mordę!
- Daj spokój, idź w swoją stronę, człowieku. Nie szukam zaczepki.
- Dawaj szmalec!
- Nie.

No i stało się. Gdula — tak się nazywał ten idiota — chciał dać w mordę nieznanemu. Ten był szybki, błyskawicznie odsunął się od sklepowego okna. Napastnik, niestety, miał pecha, ponieważ jego niedoszła ofiara stała przed betonowym filarem. Rozległ się chrzęst łamanej kości i Gdula stracił rękę, padł przy tym na ziemię i tarzał się z bólu. A nowy spokojnie oparł się o wystawę i jadł dalej batona, na naszego osiedlowego bandytę nawet nie spojrzał. W końcu Gdula się podniósł i zwyczajnie uciekł. Wtedy do mnie przykuśtykał mój młodszy brat. Specjalnie mówię przykuśtykał, Marek — tak młody miał na imię — od dziecka kulał, nie wiadomo dlaczego. Było to przyczyną jego osobistych kompleksów i tragedii naszej matki, która o wszystko, co złe obwiniała siebie.

- Mama cię woła na kolację.
- Co? Już?
- Tak. Kto dołożył Gduli?
- Chłopak z długimi włosami.
- Ten pod sklepem?
- Tak, ten w wojskowej kurtce.

Wtedy dokonał się pierwszy cud. Tak to dzisiaj nazywam. Młody podszedł do Jezusa — taką daliśmy mu ksywę — i podziękował za spranie Gduli. Brzmiało to mniej więcej tak:

- Ty jesteś ten nowy, co dokopał Gduli?
- Nikogo nie pobiłem.
- Nieważne. Ten drań od dziecka mi dokuczał. Teraz długo będzie lizał połamaną rękę. Dziękuję. Niech i on trochę się pomęczy.
- To niedobrze cieszyć się z ludzkiego cierpienia.
- A ja, widzisz, nie mogę dobrze chodzić od dziecka. Mało to razy się poryczalem z powodu kalectwa?
- Noga?
- Tak, całe biodro.

- Mogę obejrzeć?
- Jesteś lekarzem?
- Być może... znam się trochę na tym.

Wtedy nowy starannie pooglądał nogę, biodro, puciskał w odpowiednich miejscach i mój brat przestał kuleć. O mało nie zwariował ze szczęścia. Nie było innego wyjścia, zaprosiliśmy Jezusa na kolację. Mamy duże mieszkanie, cztery pokoje, nas jest dwóch, mama, ojciec, wolny pokój został dla naszego nowego uzdrowiciela. Matka o mało nie oszalała ze szczęścia, ojciec również był w szoku, Jezus usiadł przy stole, wcześniej starannie umył ręce i twarz, mówił niewiele, jakby zdawkowo. Wreszcie, kiedy ochłonął pierwszy zachwyt jego cudem, spytał:

- Czy jesteście państwo wierzący?
- Tak, oczywiście. Chodzimy co tydzień do kościoła.
- Ale jesteście wierzący?
- Zdecydowanie tak.
- Wobec tego, czy mogę odmówić modlitwę przed posiłkiem?
- Jak najbardziej.

Nieco zawstydzeni spojrzeliśmy po sobie. Na dobrą sprawę modlitwę przed posiłkiem odmawialiśmy dwa razy do roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Teraz modlimy się codziennie. Jezus wstał, my zaraz za nim. Wtedy usłyszałem najpiękniejszą modlitwę w moim życiu. Nigdy już nikt w mojej obecności takich słów nie wypowiedział. Do dzisiaj wspominam to wydarzenie ze łzami w oczach:

— Dziękujemy stwórcy za piękny poranek utkany wiosennymi mgłami niczym obrazy doskonałości, dziękujemy Stwórcy za przyjaciół, którzy pomogą nam w trudzie życia, za radość i uśmiech na ich twarzach, na koniec podziękujemy za dar życia jaki nas otacza, za braci ludzi, za zwierzęta, ptaki i drzewa, które pomagają nam przetrwać ciężkie chwile i za to, że nasz przyjaciel został dziś uzdrowiony, on i jego młoda, czysta dusza.

— Amen!!!

Staliśmy tak oczarowani tymi słowami. Jezus potrafi mówić. Nasz proboszcz to przy nim degenerat i grubas, zresztą nieważne, do dziś modłę się tymi słowami, nie klepię już tych formułek wyuczonych w dzieciństwie. Straciły sens. Ot... tak nagle.

- Pięknie to powiedziałaś.
- Dziękuję.
- Byłeś w seminarium duchownym?
- Nie. Nigdy nie miałem nawet takich planów.
- Jesteś poetą?
- Sam nie wiem...
- W każdym bądź razie uzdrowiłeś naszego syna.
- To nie ja.
- A kto?
- Jego piękna i wzniosła wiara, nic więcej.

Zapanowała cisza. Ojciec przestał zadawać pytania. Chyba go już całkiem zatkało. W każdym bądź razie, starsi stwierdzili, że za uzdrowienie syna Jezus może zostać u nas nawet na zawsze. Ten spojrzał na nas tymi swoimi wiecznami zamyślonymi niebieskimi oczami i po raz pierwszy uśmiechnął się:

- Dziękuję. Z chęcią skorzystam. Chwilę tu zabawię.
- Co pan chce robić?
- Szukam krewnych. Mieszkają podobno w tej okolicy,
- Zna pan ich nazwiska?
- Niestety, nie. Ale odnajdę ich, proszę mi wierzyć.

- Jaki pan ma zawód?
- Jestem filozofem.
- Da się z tego żyć?
- Na chleb mi wystarcza.
- A skąd znajomość medycyny?
- Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. To takie hobby.

Jedliśmy długo kolację, rozmawialiśmy jak nigdy wcześniej, żadnych kłótni, głupich złośliwości. Chciałem, aby Jezus został z nami na zawsze, ale tak się nie stało. Nasz gość jadł powoli, starannie przeżuując każdy kęs, patrzył na nas z uśmiechem radości. Ani razu nie wypowiedział żadnego niewłaściwego słowa. Ot... po prostu bardzo przyjemny człowiek. W ciągu jednego wieczoru odmienił naszą rodzinę, uzdrowił i pokazał, jak ważna jest miłość i radość życia. Miał przy sobie niewielki plecak. Poprosił mamę o wypranie wszystkich rzeczy, poszedł spać w samych spodenkach. Na drugi dzień była sobota, wszyscy mieli wolne. Jezus spał długo. Wreszcie do nas przyszedł ubrany w skromny popielaty dres. Włosy po wcześniejszym długim myciu starannie uczesał w długi kucyk. Usiadł w kuchni przy stole i poprosił o skromne śniadanie. Tylko suchą bułkę i herbatę:

- Ale dlaczego pan tylko tak skromnie?
- Obżarstwo jest grzechem, a wczorajsza kolacja była dostatnia i smaczna.

Nie wolno się przejadać i niszczyć organizmu.

- Co racja to racja.
- Mam do państwa małą prośbę. Proszę nikomu nie mówić, że to ja wczoraj miałem coś wspólnego z uzdrowieniem syna. Taka moja gorąca prośba. Proszę powiedzieć, że kości się naszły, to wszystko.

- Ludzie w to nie uwierzą.
- Dlaczego?
- Bo tak nagle...

- Proszę pani, proszę się nie martwić. Uwierzą.

Miał jak zwykle rację. Uwierzyli wszyscy. Nawet lekarze z miejscowego szpitala, którzy do dziś przypisują sobie ten sukces ku radości mojej i reszty rodziny. No, nieważne. Jezus chciał się rozejrzeć po okolicy i poprosił mnie o pomoc:

- Nie ma sprawy. A co chciałbyś zobaczyć?
- Interesuje mnie wszystko, a szczególnie życie ludzi.
- Nie bardzo rozumiem.
- To proste, pokaż mi miasteczko, szkoły, urzędy, kościół, zapoznaj mnie z

nim.

- Tutaj nie ma nic ciekawego.
- Jest. Zobaczysz.
- Dobra.
- A przy okazji opowiesz mi trochę o sobie, o swojej rodzinie.
- Jak chcesz. Młody może iść z nami?
- Nie, niech odpoczywa.
- Rozumiem.

Poszliśmy wtedy na długi spacer. Jezusa interesowało wszystko. Dosłownie. Na koniec weszliśmy do kościoła:

- Podoba ci się tutaj?
- Tak. Kościół jak kościół — wzruszyłem ramionami.
- Kapie złotem i przepychem.
- Tak już jest.
- Zgadzasz się z tym?

— Czy ja wiem? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jestem zwykłym mechanikiem samochodowym. Nie mam takiego bogatego wnętrza, jak ty.

— No dobrze. A gdybyś ty budował kościół, to jak on miałby wyglądać?

— Przede wszystkim chciałbym, aby był funkcjonalny, wygodny, ogrzewany i z ławkami dla wszystkich. Trudno wystać godzinę na marmurowych płytach.

— Masz trochę racji.

— A ty, co ty byś zrobił?

— Trudne pytanie.

— Odpowiedz, jestem ciekawy.

Jezus milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie uważnie rozejrzał się dookoła i wzruszył charakterystycznie ramionami. Jakby chciał powiedzieć: „to nie ma sensu”. Zmienił temat. Mrużąc oczy od blasku słońca wpadającego do wnętrza kościoła, stwierdził:

— Piękne witraże. Musiały kosztować majątek.

— Tak. Jakiś milion nowych złotych.

— Bardzo dużo.

— Nasz proboszcz ma obsesję na punkcie światełek.

— Milion... Można by te pieniądze przeznaczyć na pomoc najuboższym parafianom, rodzinom wielodzietnym, dać fundusze na odzież, żywność, opał. Ileż dobrego by to było, ileż radości i szczęścia. A tymczasem patrzymy na kolorowe szkiełka.

— Chyba rozumiem. Chcesz powiedzieć, że to marnotrawienie środków, że lepiej pomóc innym.

— Wiara to miłość bliźniego, tej miłości brakuje nam wszystkim na co dzień. Nie złotych kościołów, nie pięknych domów i luksusowych samochodów, ale harmonii, ciepła, miłości i radości.

— Trochę idealizujesz problem, ale ładnie powiedziane.

— Dlaczego myślisz, że idealizuję?

— Ludzie to ludzie — dziwkarze, złodzieje, kłamcy i zbrodnie.

— To dlaczego chodzą do kościoła?

— Nie wiem.

— Właśnie. Czasami trzeba się zatrzymać, pomyśleć, zastanowić nad życiem, nad sobą.

— Nikt tego nie robi. Nie chce lub nie ma czasu.

Przestaliśmy rozmawiać. W tym momencie do wnętrza kościoła weszła staruszka, z jej oczu płynęły łzy. Jezus zostawił mnie samego podszedł do babci. Pomógł jej usiąść w ławce, po czym klęknął obok niej. Słyszałem rozmowę, niesioną przez pustą przestrzeń świątyni:

— Dlaczego pani tak płacze?

— Syn miał wypadek, potrafił go samochód, kiedy wracał z pracy na rowerze.

— Co z nim?

— Nie wiem. Cały połamany... lekarze mówią, że umrze — zaszlochała babcia.

— Nieprawda — bardzo spokojnie, ale zdecydowanie odparł Jezus.

— Jak to? Skąd wiesz? Kim jesteś?

— Lekarzem duszy. Proszę iść do szpitala, odwiedzić syna. Ucieszy się na pani widok. Bóg usłuchał twych prośb. Idź już, syn na ciebie czeka.

— Naprawdę?

— Idź!

Babcia pocałowała Jezusa w ręce, po czym ruszyła co sił do szpitala. To był drugi cud na naszym osiedlu. Ten chłopak wyzdrowiał. Do dzisiaj jeździ rowerem do

pracy i ma się dobrze, choć lekarze dawali poszkodowanemu w wypadku jeden procent szans na przeżycie, zakładając, że i tak zostanie tzw. warzywem. Wtedy tylko spojrzałem na Jezusa, uśmiechnął się do mnie i nakazał wyjście z kościoła:

— Sądziś, że ten chłopak żyje?

— Tak, ma się nieźle.

— Jakim cudem?

— Jesteś człowiekiem wątpiącym, a twoja wiara jest jak delikatna nić, która pęka pod wpływem pierwszego podmuchu wiatru.

— To ty go uzdrowiłeś.

— Spójrz na mnie, jestem tylko filozofem.

— Bzdura. — Wydałem wargi.

— Trudno cię przekonać.

— Widzę i obserwuję. Według mnie jesteś cudotwórcą.

— Niekoniecznie.

— Ja tam swoje wiem.

Wówczas nie wszystko rozumiałem. Traktowałem Jezusa jako coś oczywistego, normalnego. Miałem dwadzieścia kilka lat i uważałem, że świat należy do mnie, miałem pracę, zero obowiązków, żadnej żony, dzieci, a moje spojrzenie na życie było proste, wręcz bajeczne. Koledzy, dziewczyny, alkohol i radość — niczego nie przyjmowałem poważnie, nikogo nie traktowałem poważnie, tak było.

Idziemy dalej przez osiedle, wchodzimy do sklepu. Jezusowi chciało się pić. Zdjął bluzę mundurową, został w samej koszulce z krótkim rękawem — ale był chudy, sama skóra i kości, ale twarz miał delikatną i piękną. Podobał się dziewczynom. Dostrzegłem to wówczas w sklepie, kiedy kupował wodę mineralną. Podeszedł do lady — pracowała tam wtedy Danka, młoda, całkiem niezła dziewczyna, z którą lubiłem tańczyć na dyskotecę:

— Dzień dobry pani, straszny dziś upał.

— Dzień dobry, co podać?

— Dużą butelkę gazowanej wody mineralnej, smacznej i zimnej.

— Mamy lodówkę pod ścianą. Proszę sobie wybrać.

— Dziękuję za ofiarowanie odrobiny wolności w zakupach.

Uśmiechnął się do Danki, a ta oczarowana gapiała się na niego jak na zjawisko tęczy. Takiego poety i filozofa na osiedlu nie było. Jezus podeszedł do szafy lodówkowej i wyciągnął butelkę mineralnej. Natychmiast otworzył i zaczął chciwie pić. Jednym haustem wytrąbił ponad litr. Byłem w szoku. Spokojnie zapłacił i spytał mnie, czy mam ochotę na picie. Odmówiłem. Kupiłem sobie colę w puszcze. Jezus wyszedł na zewnątrz, a między mną a Danką zawiązała się luźna rozmowa:

— Co to za jeden? Ciekawie gada.

— Znajomy, porządny gość, daleki kuzyn. Mieszka u nas, wynajmuje pokój, jest filozofem.

— To on wyleczył młodego?

— Tak, skąd wiesz?

— Całe osiedle o tym gada.

— To sprawa lekarzy, a on tylko rozmasował nogę i nastawił kość.

— Serio?

— Tak.

— E tam... wszyscy mówią, że to cud.

— Bzdura. Cudów nie ma.

— A słyszałeś o tym wypadku dzisiaj rano?

— Tak.

— Mówili, że facet nie ma szans, a on odzyskał przytomność i okazuje się, że nic poważnego mu się nie stało. Być może, w tym tygodniu wyjdzie ze szpitala.

— Możliwe.

— Przystojny i ładny ma uśmiech, oczy i białe, idealne równe zęby. Zapoznaj mnie z nim — Danka wskazała brodą Jezusa.

— Daj spokój, Danko.

— A co nie jest wolny?

— Nie wiem.

— Dowiedz się, co?

— Jasne.

Wyszedłem ze sklepu. Nasze osiedle liczy tylko siedem tysięcy mieszkańców, a może mniej, nic się nie da ukryć. Ludzie wiedzą wszystko, wieści są szybsze niż światłowodowy. Tak więc Jezus już nie był tajemnicą. Wtedy zdałem sobie sprawę, że muszę go chronić przed ludźmi. Stał oparty o drzewo i dopijał wodę. Na mój widok odwrócił głowę i uśmiechnął się charakterystycznie, nieśmiało.

— To twoja znajoma?

— Tak.

— Ładna dziewczyna.

— Wiem, mnie się też podoba.

— Ciekawe.

— Co w tym dziwnego?

— Nic, miałem cię za idealistę. Sądziłem, że kobiety cię nie interesują.

— Przecież jestem tylko człowiekiem.